

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostataich.

36

Wanda chciała zaprotestować, upomnieć się o swój funt owców, ale nie mogła głosu wydobyć. Czuła, że tamta gotowa jest do niskiej, wstrętnej walki, że to nie o koszyk truskawek chodzi.

Błada bardzo, z zaciśniętymi ustami odwróciła się w milczeniu aby odejść. Kilka kobiet, które były świadkami tej sceny, wyrażało głośno swoje oburzenie.

— Dlaczego jej panienska ustąpiła, tej złodziejskiej córce?! Ze jej ojciec spyrki i mięso Szwabom wywozi, a nam zdechłą koninę sprzedaje, to ona się będzie rozpychać!...

— Patrzcie ja! Wielka pani!... Milionerka!... Pamiętają jeszcze ludzie, jak bosy i w lafanej kiecce chodziła!

— Żeby tak to na mnie padło, dałabym jej! Ten wielgaśny kapelusz z kłaków bym zdarła, żeby się nie pyszniła, flondra jedna!...

— Z naszej krwawej krzywdy te stroje!

— Z przed nosa komu porwie, cholera pie-
rońska, świniara zatracona!

Nastrój stawał się tak wrogi dla Burczykiewiczówny, że przestraszona skinęła na dorożkę i wsiadła, żegnana gniewnym pomrukiem i „so-czystymi” obelgami.

Wanda nie obserwowała tej porażki swojej nieprzyjaciółki. W innej stronie rynku szukała znowu truskawek. Nie znalazła wszakże i zmar-twiona, z posępną zwieszoną głową i próżnymi rękoma wracała do domu.

Na myśl o rożczarowaniu chorego ojca prze-nikała ją taka żalność, że gdyby nie panowanie nad sobą, płakałaby jak dziecko.

— Tatusik... mój biedny, dobry, jedyny ta-tusik...

Nagle posłyszała za sobą szybkie kroki i przy-spieszony oddech człowieka, który znać dłuższą chwilę nie siedł, ale biegł.

— Panno Wando...

Michał Ruda stał przy niej i podawał torebkę pełną bardzo ładnych truskawek. Serdeczne, modre oczy świeciły zadowoleniem.

— Ledwie pania dogonił... I ja chodziłem po rynku, szukając truskawek. No, udało mi się. Prawda, że wcale niegorsze? Będą panu pro-fesorowi smakowały...

Wanda jedną ręką ujęła torebkę, a drugą wy-ciągnęła ku Rudzie, porwana prądem wdzięczności, wzruszona głęboko tą jego troskliwą dobrocią.

— Jaki pan dobry!... Boże! Jaki pan dobry!...

— No, wie pani, że u pani nie trudno za-służyć na nazwę dobrego! Wystarczy wytargo-wać u przekupki kilo truskawek — zażartował, nie odrywając od niej zachwyconego wzroku.

— Nie! nie! już ja wiem, co mówię!...

Przesunęła ręką po czole. Ach! Odpędzić te nieznosne, dręczące porównania, które nawie-dzają mózg nieproszone, uparte. A Kazik jakby postąpił? Dlaczego on... Nie myśleć o tem! Boże, nie myśleć!...

— Mogę panią odprowadzić?

— Ależ rozumie się. Proszę.

— Pójdziemy przez planty? Czy dobrze?

— Dobrze.

Zielone, kwitnące plantacje dyszały majem, ciepłym, wonnym, rozkosznym majem, który rzucał różowe blaski na twarze młodych dziewcząt, rozgrzewał zastygłe serca staruszków, roz-promieniał buzie dziecięce, a chorym i nie-szczęśliwym śpiewał, że wiosna wraca, że szczęście wrócić może.

Jakiś żołnierz o woskowej twarzy, znać ciężko chory, ułożony wygodnie na ławce, wdychał powietrze, przesycone silną wonią bzów i uśmiechał się bezkrwistymi wargami.

— Biedak... Temu już się niewiele należy — szeptali przechodnie — to jego ostatni maj.

Był to obraz, jakby wyjęty z wiersza poety:

„Za oknem się rozszalał maj,
A po szpitalach mra żołnierze...”

Koło chorego żołnierza przesunęła się młoda, jaśniejąca szczęściem, młodością, urodą para. On wysmukły brunet z czarnymi oczyma, w któ-rych paliła się radość życia, ona wiotka, eter-yczna blondynka w białej sukience, przypomi-

nająca wdzieczny, delikatny kwiat konwalii. Pa-nienka trzymała w ręce dużą gałązkę liliowego bzu i filuternie uśmiechnięta muskała się nią po twarzy, spoglądając poprzez kwiaty na swego towarzysza wielkimi żrenicami, które miały barwę leśnych fiołków i wyraz ogromnego, naiwnego rozkochania. Przez te oczy patrzyło serce, budzące się po raz pierwszy w blaskach złotego słońca wiosennego, w cudnym miesiącu maju.

Idylliczny ten obrazek odbijał się jaskrawym tragicznym kontrastem od woskowej twarzy żołnierza, której już nawet liśnięte słońce nie mogło przywrócić świeżych barw zdrowia.

— Wieczny taniec miłości i śmierci — sze-pnął Ruda.

— Wokół złotego cielca — odparła Wanda, wskazując wzrokiem jakąś grubą damę, opiętą jedwabiami, obwieszoną brylantami, powiewa-jącą dumnie kosztownymi „rajerami” u naj-modniejszego kapelusza.

Dama wiloczyła się pomiędzy ławkę, na której leżał śmiertelnie chory żołnierz, a młodą, rozkochaną parę i swoją ciężką, strojną postać zdawała się przyłaczać i tego, co szedł ku śmierci i tych, co rwali się jeszcze do życia.

— Napewno jakaś „paskarzowa” — zauwa-żył Ruda.

— Tak. Tylko tacy mają dziś prawa do życia, do wiosny, do szczęścia. Oni panują nad świa-tem, który zwaryował i broczy we krwi.

Michał Ruda z pewnem zdziwieniem spojrzął na Wandę. Nie przywykł do tego, by słyszeć z jej ust poglądy tak pełne bezwzględnej go-ryczy pesymizmu. Zrozumiał, patrząc na jej śliczne rysy, zaostrome ponurym wyrazem, po-starzałe jakieś, że musiało ją świeżo spotkać coś bardzo przykrego od tych co „panują nad światem”.

Z gorącym współczuciem patrzył na tę twarz pomizerniałą, pobladłą, w te oczy premienne, zasnułe teraz posępną chmurą smutku, ze współ-czuciem równie wielkiem, jak jego miłość.

Och, gdyby miał prawo dopomagać jej, opie-kować się nią, usuwać kamienie z drogi.

— Panno Wando... — zaczął.

Po twarzy Wandy przebiegł błysk trwogi. Przeczuliła co chce jej powiedzieć i lękała się tego momentu. On taki dobry, taki troskliwy, żał Wandzie zasmucić go, odebrać nadzieję, odebrać nadzieję, a jednak trzeba. Szybko po-sunęła się kilka kroków naprzód.

— Widzi pan tego młodzieńca w jasnym ubraniu? Doprawdy, z daleka wydawało mi się, że to mój narzeczony!

Jasne oczy Rudy pociemniały i zmieniły wyraz. Zamigotały w nich zimne, ostre błyski stali.

— O kim pani mówi? Czy o panu Kazi-mierzu Rawiczu?

— Oczywiście! Jakże pan może pytać!

— No, to ja mógłbym być panią odrazu po-informować, że to nie on, bo widziałem go przed chwilą jak jechał w powozie z panną Burczykiewiczówną. Czy pani zna pannę Burczykiewiczównę i jej godnego papę?

Pożałował odrazu swej bezwzględności, bo Wanda zbładła tak mocno, iż zdawało się, że zemdleje.

— Panno Wando, na Boga!... Co pani?... Słabo?...

— Nie... nie... nic już... Tak, owszem, znam pannę Burczykiewiczównę. No, taka znów bardzo interesująca to ona nie jest... — usiłowała się uśmiechnąć bladymi ustami.

— Pan Rawicz — nie powiedziała już „mój narzeczony” — bywa u Burczykiewiczów bo...

Napróżno szukała w myśli jakiegoś godzi-wego powodu, dla któregooby Kazimierz Rawicz mógł bywać u Burczykiewiczów. Wreszcie czuła, że cokolwiek powie, to Rudy jej nie uwierzy... Bo on wie...

Nie, nie! On nic wiedzieć nie może! Bo to nieprawda, co ludzie mówią! Przecież Kazimierz mimo wszystko jest jej narzeczonym, nie zerwał z nią.

Ruda w milczeniu patrzył na nią długą chwilę. Wargi pod błowym wosem drgały mu nerwowo.

— Podlec! — syknął przez zęby.

— Co? Co pan mówi?! O kim?!

— Ach! Nic. Popatrzyłem na tego spekulanta, który nas mija. Dorobił się już dziesięciu ka-mienic na oglądaniu kraju. No i wyrwało mi się to określenie, nie wybredne co prawda, ale chyba jeszcze zbyt łagodne.

— A tak... Pan myślał o nim?

— O nim i jeszcze o innych spekulantach, o innych krukach.

Wanda zwiesiła głowę nisko na piersi.

W tej chwili podbiegł ku nim mały, umoru-sany chłopak z bukiecikami fiołków w brudnej piątce.

— Panie łaskawy, kup pan dla tej pani fiołki! O, powąchaj pan jak pachną.

Ruda wziął jeden bukiecik i podał go Wandzie.

— Panno Wando! Choć odrobinę wiosny...

Machinalnie wzięła fiołki, ale palce jej tak drżały, że bukiecik wypadł z nich na ziemię. Natychmiast strątały go ciężkie buty żoł-nierskie.

— Och! Biedne fiołki.

— Nie mają widać szczęścia moje kwiaty — zauważył Ruda z łagodnym, smutnym uśmie-chem, który miał w sobie coś nieskończenie bolesnego.

— — — — —

Panna Julia Ozarska podniosła ku Milewi-czowi swoje wyblakłe, błękitne oczy z wyrazem błogiego rozmarzenia. Kremowy kapelusz z czer-wonym kwiatem i jasna bluzka nie dodawały jej wprawdzie dużo wdzięku ni urody, odmła-dzały ją jednak nieco.

— Wie pan, com wymyśliła?

Malarz uśmiechnął się.

— Pewnie coś bardzo praktycznego.

— Ma się rozumieć! Czy pan nie uważa, że te obiady w głodnej kuchni stają się z każdym dniem gorsze?

— Ach, ja to już dawno zauważyłem — we-stchnął Milewicz — jednakowoż jadać w re-stauracji lub pensjonacie to zbytek.

— Któż mówi o pensjonacie czy restauracji. Ja mam inny projekt.

— Słucham z ciekawością, bo z góry wiem, że jest doskonały. Pani jest moim dobrym du-chem!... Gdyby nie pani, doprawdy nie wiem, jakbym był przetrwał te ciężkie zimowe mie-siace.

Twarcz Julii rozświeciła się, jakby na nią padły wszystkie blaski i promienie wiosny.

— Trzeba więc radzić sobie i dalej. A zatem obiady będziemy jadali w domu!

— Jaki!...

— No, bardzo poproszę. Zmieniam miesz-kanie, wynajęłam pokój z kuchnią i będę sama gotowała obiady. Obliczyłam, że to wypadnie równie tanio, a napewno zjemy cenniejsze i sma-czniej!...

— Bez wątpienia, ale kiedyż pani znajdzie przy swoich zajęciach czas na to gotowanie?

— Wszystko już przewidziałam. Przychodzę do domu o dwunastej. Za dwie godziny spitasz obiad. Zjemy trochę później, ale za to po-żywniej.

— I nie przeciąży to pani?

— Bynajmniej. Pan koniecznie potrzebuje lepszego trochę jedzenia.

— Pani jest genialnie praktyczna, panno Julio. I nieskończenie dobra — dodał ciszej — doprawdy nie wiem, jak mam pani podziękować.

— Nie ma pan za co dziękować. Ja tak chętnie!...

— Dobra, złota, kochana panno Julia.

Jak rajska pieśń, jak hymn szczęścia za-dźwięczały jej w uszach te słowa, upadły na samo dno serca niby perły drogocenne, niby kwiaty rozkoszne o aksamitnych płatkach i upa-jającej woni. Panowała nędzą, aby nie za-plakać łzami radości. On jest jej wdzieczny, lubi ją, może... może więcej niż lubi. Przecież przepędza z nią razem każdy wolny wieczór, zwierza się ze swych pragnień, trosk, obaw, pozwala opiekować się sobą, dogadzać sobie.

Niedawno powiedział, że nikt tak nie umie działać kojąco na niego jak ona, że gdy jest smutny, zły, zgryziony ona jedna zdoła mu przy-wrócić trochę dobrego humoru, pogody, chęci do życia. Rozumie go tak dobrze, nigdy nie rozdrażni nie rozniewia, jest uosobioną do-brocią, słodyczą, troskliwością.

— Pani jest poprostu aniołem, panno Julio — oświadczył.

Jak to cudnie brzmi „Julio”. Gdyby tak od-rzucić jeszcze tę „pannę” to... Ale cicho, na wszystko przyjdzie czas. To mieszkanko, które wynajęła teraz, stanie się może świątynią ich szczęścia.

(Ciąg dalszy nastąpi).